

## ROZDZIAŁ 1

**W**ielkie, betonowe miasto ogarniał mrok. Kontury wystających z szarej płaszczyzny budynków powoli traciły swoją ostrość, zlewając się z coraz ciemniejszym tłem. Gdzieś niegdzie nieśmiało zapalały się błękitne, bliźniaczo podobne do siebie światełka, rozmyte nieco przez grube, zakurzone szyby bliźniaczo podobnych do siebie okien. Pokrywające mury budynków kolorowe napisy ginęły w ciemnościach, gubiąc swoją treść i znaczenie. Pozbawione tandetnych wystrojów stragany przypominały sterzące żałośnie szkielety prehistorycznych gadów. Od czasu do czasu wzdłuż ścian budynków przemykały sylwetki spóźnionych przechodniów, pośpiesznie zmierzających do swoich mieszkań, a betonowe klocki zdawały się wyciągać w ich stronę niewidzialne szpony. Wraz z ciemnością nadchodził strach. Miasto błyskawicznie pustoszało. Wkrótce pograżyło się w całkowitych ciemnościach, rozświetlanych jedynie przez żółte ogniki z rzadka porozstawianych ulicznych latarni oraz błękitną poświatę szyb, za którymi jarzyły się ekrany tysięcy telewizorów.

Abel kroczył środkiem ulicy, rozglądając się czujnie, zaciskając dłoń na rękojeści ciężkiego rewolweru. Nie poddawał się lękowi, zachowywał jednak daleko idącą ostrożność. Przywykł do niebezpieczeństw nocy i wypracował odruchy, od których zależała zdolność przetrwania w nieprzyjaznym środowisku. Zachowywał spokój — nie był przecież zupełnie sam. W magazynku niezawodnej broni prężyło się do skoku pięć dwunastomilimetrowych, śmiertelnych pocisków. Wystarczyło jedynie wykonać szybki ruch, a potem zacisnąć wskazujący palec na języku spustowym. Abel opanował tę czynność do perfekcji. Wykonywał ją dziesiątki, a może setki razy. Uniemożliwiał przeciwnikom i nauczył się nie mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Nie był w stanie zmienić obowiązującej w mrocznym świecie zasady: zabij, nim zabiją ciebie! Jednocześnie tęsknił za poczuciem bezpieczeństwa, czując odrazę do przemocy. Stary rewolwer wielokrotnie ratował mu życie. Abel żywił dla tego stalowego przedmiotu całą gamę uczuć. Kochał swoją broń, pieścił ją i dbał o jej sprawność, a równocześnie z trudem powstrzymywał się przed wyrzuceniem jej do pierwszej napotkanej ściekowej studzienki. Wstręt do zabijania toczył w nim walkę z chłodnym rozsądkiem, nakazującym wyzbyć się wszelkich skrupułów. Była to beznadziejna walka, w której żadne z uczuć nie było w stanie odnieść miażdżącego zwycięstwa. Niechęć do zabijania zajmowała w umyśle Abela swoje stałe miejsce. A rewolwer również musiał tkwić w kieszeni. Taki był, po prostu, porządek rzeczy.

Czuł się nieswojo, mijając kolejne zaułki betonowego labiryntu. Odgłos własnego tętna utrudniał mu łowienie szmerów dochodzących z mrocznych zakamarków. Na wszelki wypadek zachowywał jednakową odległość od każdej z pobliskich ścian. Szedł powoli, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Tłumił narastający niepokój, zdając sobie sprawę, że nagroda czekająca na niego u kresu wędrówki warta jest wszelkiego

ryzyka. Widział przed sobą twarz Anny, wyobrażał sobie dtyk jej chłodnych dłoni, zapach kasztanowych włosów i smak miękkich ust...

Odetchnął z ulgą, ujrawszy oświetloną sylwetkę stwora będącego symbolem Złotej Republiki. Potężny, szczerzący kły, dzierzący w swych szponach insygnia królewskiej władzy, złoty, skrzydlaty smok spoczywał na wysokim cokole, rzucając przechodniom dumne spojrzenia. Statua wyraźnie górowała nad okolicznymi zabudowaniami. Zajmowała zaszczytne miejsce w centralnym punkcie obszernego placu, będącego na co dzień królestwem handlarzy. Teraz plac świecił pustkami, ale dumny smok wciąż chępił się swoją potęgą, rozkładając skrzydła, jak gdyby chciał poderwać się do lotu i nigdy już nie powrócić... Niestety, musiał tutaj pozostać. Był przecież tylko biedną, wypolerowaną bryłą metalu, która chociaż zaopatrzona w koronę, berło i obusieczny miecz, nie była w stanie nikomu pomóc ani zaszkodzić. Taki już był smutny los samotnego smoka.

Abel nie miał zamiaru podziwiać dumnej sylwetki stalowego potwora. Wpatrywał się w ciemność, usiłując dostrzec drobną sylwetkę Anny. Jej nieobecność niepokoiła go i irytowała. Pomimo wielu pozytywnych uczuć, jakimi darzył dziewczynę, jej zachowanie sprawiało niekiedy, że zaczynał odczuwać prawdziwą, szczerą wściekłość. Miejsca spotkań, które wybierała, wydawały mu się co najmniej dziwne. Nużyły go gierki, jakie uprawiała. Nie znał i nie rozumiał ich celu, podobnie jak nie znał i nie rozumiał samej Anny. Od pewnego czasu widywali się często, nawet bardzo często, a jednak dziewczyna wciąż stanowiła dla niego zagadkę. W gruncie rzeczy nie wiedział o niej prawie nic. Jedno musiał przyznać: miała szczęście, ogromne szczęście. Ich wieczornych spotkań nie zakłócił nigdy napad bandy złodziei, ani nawet atak samotnego, zdesperowanego wieczornego rabusia. Ku

swojemu zdumieniu, Abel czuł się bezpieczny, kiedy dziewczyna była przy nim. I nigdy nie mógł zrozumieć dlaczego tak się dzieje. Dziewczyna była dość drobna i delikatna. Nie miała w sobie ani śladu sprężystości uzbrojonych po zęby, odzianych w wymyślne stroje, szukających mocnych wrażeń nocnych dziewcząt o kamiennych twarzach. Nie przypominała również wymalowanej, skąpo odzianej laleczki. Była po prostu kobietą. To on, Abel, powinien pełnić rolę strażnika ich wspólnego bezpieczeństwa. A jednak przy niej nie czuł się siłaczem. Byli sobie równi.

Abel wierzył, że odnalazł swoją jedyną, prawdziwą miłość. Żałował tylko, iż oboje znaleźli się w ponurym, zniewolonym świecie, miejscu bez przyszłości i bez historii. W szarym świecie istniała wyłącznie terazniejszość: brudna, bezbarwna, pograżona w smutku, przepojona bezsilnym buntem i wiecznym rozczarowaniem.

Podstawa cokołu, na którym spoczywał złoty smok, tonęła w ciemnościach, mimo iż samą rzeźbę oświetlały cztery potężne reflektory. Właśnie tutaj najczęściej dochodziło do ich spotkań. Bandyty omijali to miejsce, ponieważ wokół cokołu było zbyt jasno. Abel przywarł plecami do chłodnego granitu, ocierając pot z czoła. Mógł sobie wreszcie pozwolić na krótką chwilę odprężenia. Nie spuszczał jednak dłoni z rękojeści rewolweru. Był ostrożny, jak zwykle. Swojej ostrożności przecież zawdzięczał to, że wciąż pozostawał wśród żywych.

Anna pojawiła się w zupełnie nieoczekiwany sposób. Po prostu stanęła obok niego, jak gdyby wyrosła spod ziemi. Abel odruchowo sięgnął po broń i unióś ją na wysokość oczu.

— Zostaw armatę, to ja — usłyszał znajomy głos. Odechnął z ulgą. Nie musiał się już martwić o dziewczynę. Od tej chwili, gdyby ktoś zechciał zrobić jej krzywdę, musiałby najpierw pokonać jego.

Obejmując ją ramionami, przywarł wargami do jej ciepłych ust. Odwzajemniła uścisk i pocałunek.

— Dokąd pójdziemy? — zapytał po chwili, umieszczając rewolwer w kieszeni bluzy.

Anna wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — westchnęła. — To przecież wszystko jedno. I tak ostatecznie wylądujemy gdzieś, gdzie jest łóżko i nie ma widzów...

— Czyżbyś miała coś przeciwko takim miejscom? — Abel spojrzął na nią podejrzliwie.

— No, nie, oczywiście, że nie... Może na początek pójdziemy do Rogera?

— Znowu?!

— Dlaczego nie? To całkiem przyjemne miejsce. Tak samo dobre jak każde inne. A poza tym, wszyscy nas tam znają, więc nikt nie będzie mnie chciał zgwałcić, a ciebie zasztyletować. Same korzyści...

— Skoro tak uważasz... — Abel wzruszył ramionami. — W takim razie chodźmy. A swoją drogą, jak ty to robisz, że dostrzegam cię dopiero wtedy, kiedy jesteś dwa metry ode mnie?

Anna uśmiechnęła się zagadkowo.

— Są różne sposoby zapewniania sobie bezpieczeństwa — stwierdziła po chwili. — Jedni noszą przy sobie rewolwery, a innych po prostu nie widać...

Ruszyli mroczną ulicą, tuląc się do siebie. Miasto wydało im się teraz nieco mniej odrażające. Byli razem i nie bali się niczego. Co chwilę spoglądali na aksamitne niebo, usiane setkami srebrzystych punkcików, nieśmiało marząc, by jakaś wielka, wszechpotężna siła przeniosła ich na inny kraniec wszechświata. Czerń nieba uśmiechała się do nich, ale nie było w tym uśmiechu nic prócz cynizmu i obojętności.

Knajpa Rogera była, jak zwykle, mocno zatłoczona. W powietrzu snuły się leniwie gęste obłoki papierosowego

dymu, a w ogólnej wrzawie dominowały męskie głosy o nieco bełkotliwym brzmieniu. Pierwszą osobą, która zwróciła uwagę Abła, była szczupła dziewczyna odziana w czarny kombinezon ze skóropodobnej tkaniny, nabijany błyszczącymi ćwiekami. Na szyi zawieszony miała stalowy łańcuch, a do szerokiego, ściśle opinającego jej rozłożyste biodra pasa przymocowana była długa kabura, z której wystawała rękojeść półautomatycznego karabinka. Była to broń, jaką zwykle posługiwali się łowcy nagród, a jednak dziewczyna nie przypominała reprezentantki tego niezbyt popularnego zawodu. Była zbyt młoda i zbyt ładna, a jej długie, jasne, rozpuszczone włosy zupełnie nie pasowały do stroju. Nieznajoma stała przy jednym z wysokich podłużnych stołów i uśmiechając się, rozmawiała z jakimś wystrojonym w biały garnitur, tęgim młodzieńcem.

Abel i Anna podeszli do baru i zajęli miejsca na okrągłych taboretach. Roger, numer ewidencyjny: 665422011, uwijał się za ladą, ledwo nadążając z realizowaniem licznych zamówień klienteli, której większość stanowili kupcy, drobni złodzieje lub inne płotki aparatu przestępczego. Abel był tutaj tolerowany jako dobry znajomy gospodarza, a ponadto jako postać niezwykle oryginalna, inna od wszystkich pozostałych. Anna natomiast była nietykalna. Stali bywalcy lokalu przestrzegali tej zasady, nie chcąc zadzierać z Rogerem, który potrafił być bardzo nieprzyjemny dla tych, którzy mu podpadli.

Nim podeszedł do nich gospodarz, usłyszeli suchy kaszel osobnika siedzącego obok Anny. Był to Willy. Nikt nie był w stanie określić jego wieku i nikt nie pamiętał jego numeru ewidencyjnego. Po prostu szara eminencja.

— Znowu was tu przyniosło — stwierdził raczej, niż zapytał Willy. — Czy naprawdę tak bardzo lubicie tę spelunę?

Abel wzruszył ramionami.

— Coś trzeba robić z wolnym czasem — odpowiedziała

wymijająco Anna, nie zaszczycając spojrzeniem swojego rozmówcy.

Willy był brzydki, wręcz odrażający, a w dodatku ciężko chory. Swoje ostatnie lata, miesiące, a może już tylko tygodnie postanowił spędzić w tanich barach i systematycznie przepijał pieniądze, które zgromadził w trakcie swojej kupieckiej kariery.

— Aha — Willy ze zrozumieniem pokiwał głową. — Postawić wam? Wiecie, lubię was, a więc...

Anna spojrzała na niego z pogardą.

— Odwal się, Willy — burknął Abel, wydobywając z kieszeni kilka banknotów. Po chwili podszedł do nich Roger.

— Jak się macie?! — zawołał. — Co pijecie? To, co zwykle?

Abel skinął głową.

— Dzisiaj ja im stawiam — wtrącił Willy.

— Odwal się, Willy — powtórzył Abel nieco bardziej zdecydowanym tonem.

— Proszę, proszę! — odezwał się ktoś stojący za ich plecami. — Willy ma gest! Kto by pomyślał...

Był to Adam, wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna o pryszczatej, zawsze zaczerwienionej twarzy. Adam trudnił się głównie przemytem drobnych towarów i rozprowadzaniem ich w centrum miasta. Oficjalnie uchodził za drobnego złodziejaska, ale żaden ze złodziei nie widział go podczas włamania lub rabunku. Za to wszyscy przemytnicy znali go doskonale. Adam był dobry we wszystkim, co robił, również w opróżnianiu puszek wypełnionych wszelkiego rodzaju alkoholizowanymi napojami. Jedną z nich trzymał właśnie w swojej potężnej dłoni.

— Odpieprz się — warknął ze złością Willy.

— Chyba nawet wiem, dlaczego — kontynuował Adam, nie zwracając uwagi na wypowiedziane pod jego adresem słowa. — Czyżbyś miał ochotę na tę damę, stary świntuchu?

— Odpieprz się... Uchu, uchu, uchu... Kurwa...

— Właściwie rozumiem cię doskonale. Gdybym wiedział, że wykorkuję za tydzień lub dwa, też chciałbym przed śmiercią popieścić jakieś miłe ciało. Problem polega na tym, że ta pani nie odwzajemnia twoich uczuć i nie należy do takich, które dają z litości!

Zgromadzony w knajpie tłum ryknął śmiechem.

— Odpieprz się! — powtórzył raz jeszcze Willy, tłumiąc kaszel.

— Uważaj Anno, to prawdziwy uwodziciel — powiedział Adam.

Willy gwałtownie zerwał się ze swojego stołka.

— Jeszcze słowo i... — nie dokończył. Atak kaszlu, który wstrząsnął jego wątłym ciałem, był tym razem znacznie potężniejszy.

— I co? — Adam rzucił mu pełne politowania spojrzenie. — Lepiej usiądź i się napij. Zresztą, po co ja to mówię? I tak byś się napił.

— Odplącę ci za wszystko — zacharczał z wysiłkiem Willy. — Słyszysz? Wcale nie umrę! Uratują mnie! Już niedługo wszystko się wyjaśni. Widziałem dzisiaj ICH.

Adam wybuchnął śmiechem, Roger natomiast popatrzył na Willy'ego z wyraźnym zainteresowaniem.

— Gdzie ICH widziałeś? — zapytał, polerując trzymaną w dłoni szklankę kawałkiem białej ściereki.

— W południowej dzielnicy. Dziś rano, przed świtem. Przeleciały dwa pojazdy, oświetlone na niebiesko.

— Na niebiesko... — powtórzył Roger, popadając w zadumę.

Abel już dawno przestał zwracać uwagę na wieści rozgłaszane przez Willy'ego, który słynął z niezłomnej wiary w upragniony cud. Roger był chyba jego jedynym wiernym słuchaczem.

— Co jest, do cholery?! — zawołał nagle jakiś ubrany na czarno osobnik. — Gdzie jest barman?!

— Lepiej daj mu spokój — doradził Adam. — Nasz Roger ma dzisiaj obrońcę, którego nie należy lekceważyć.

Bandyta zbliżył się do lady. Na jego piersi lśnił srebrny znaczek z dwoma szklanymi oczkami i czterema nacięciami, co oznaczało, iż jego właściciel posiada drugi stopień zawodowej specjalizacji i zabił czterech ludzi.

— Obrońcę? — powtórzył ze zdziwieniem. — Kto to taki?

— Chyba jesteś tu nowy — zauważył Adam. — Jak możesz nie znać naszego twórcy? — dodał, klepiąc Abła po ramieniu.

Bandyta przyjrzał się uważnie najpierw Ablowi, a potem Annie.

— Barman, daj trzy piwa — rzucił, niedbałym gestem cisnąjąc kilka monet na blat baru. — Jesteś prawdziwym twórcą? — spytał po chwili.

Abel skinął głową. Nie miał zamiaru nawiązywać rozmowy z nieznanym osobnikiem, nie mógł jednak pozwolić sobie na całkowite zignorowanie jego pytania. Bójka lub strzelanina wewnątrz lokalu nie były tym, czego pragnął najbardziej.

— Napijesz się ze mną? — zapytał bandyta, stawiając przed Ablem puszkę z piwem.

— Nie pijam z nieznajomymi — odpowiedział chłodno Abel. Tymczasem na twarzy Anny pojawił się wyraz niepokoju.

— Możemy się poznać — stwierdził bandyta. — Nazywam się Andreas, numer... I tego właśnie nigdy nie pamiętam. A ty? Jak masz na imię?

— Tego właśnie nigdy nie pamiętam — odparł ze spokojem Abel.

Bandyta nie przestał się uśmiechać.

— Napij się, to sobie przypomnisz — zaproponował.

— Chodźmy stąd — szepnęła Anna, podrywając się z krzesła.

— Zaczekaj — mruknął Abel. Powoli odwrócił twarz w stronę Andreasa. Uśmiech zaczął znikać z twarzy bandyty.

— Nie lubisz mnie — stwierdził Andreas. — Nie lubisz, prawda?

— Zgadza się — odpowiedział Abel. — Nie lubię cię. I byłbym wdzięczny, gdybyś sobie stąd poszedł. — To powiedziaławszy, niedbałym, lecz zdecydowanym ruchem ramienia odsunął od siebie puszkę.

— Obrażasz mnie — zauważył Andreas.

— A tak, obrażam cię — przyznał Abel. — Czy nie wyraziłem się dostatecznie jasno? Splywaj stąd!

Andreas wyprostował się i zwiesił ramiona wzdłuż ciała. Abel był pewien, że jego ubranie zaopatrzone jest w co najmniej kilka nierzucających się w oczy kieszeni, zawierających najprzeróżniejsze rodzaje broni. Nie mógł dopuścić, by bandyta zdążył użyć którejś z nich.

— Przepróż mnie — zażądał Andreas.

Abel pokręcił głową przecząco, nie spuszczać wzroku z jego dłoni.

— Uspokójcie się — zaproponował Adam. — To nie ma sensu.

— On mnie obraził — po raz kolejny stwierdził Andreas.

— No i co z tego?! — zawołał Adam ze zdenerwowaniem. — Niech ci się nie wydaje, że masz nad nim przewagę tylko dlatego, że jesteś zawodowcem! Widziałem, jak ten facet radził sobie z ośmioma takimi jak ty! A poza tym nie zapominaj, że nasz Roger trzyma pod ladą coś, za pomocą czego odstrzeli ci dupę, jeżeli tylko spróbujesz rozrabiać.

Andreas obrzucił Abła pełnym nienawiści spojrzeniem. Jego ręka powoli, lecz konsekwentnie wędrowała w stronę jed-

nej z kieszeni. Abel błyskawicznie przeanalizował swoje szanse w ewentualnym starciu. Od napastnika dzieliła go niewielka odległość. Andreas był w zasięgu ciosu. Zresztą na sięganie po rewolwer było już za późno...

— Andreas! — zabrzmiał niespodziewanie wysoki, dźwięczny głos.

Ręka bandyty zamarła w bezruchu. Najwyraźniej uznawał autorytet osoby, do której ów głos należał. Była to blondynka w stroju z błyszczącej, syntetycznej skóry, ta sama, na którą Abel zwrócił poprzednio uwagę.

Dziewczyna sprężystym krokiem podeszła do Andreeasa i zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

— Idziemy — powiedziała ze spokojem, rzucając Abloowi spojrzenie pełne zaciekawienia. Andreas nie miał ochoty sprzeciwiać się jej woli.

— Spotkamy się jeszcze — wycedził przez zęby.

— Zapewne — odpowiedział Abel. — To miasto nie jest aż tak wielkie.

Andreas i blondynka powoli oddalili się i zniknęli w rozbawionym tłumie.

— Mam coś dla ciebie — wyszeptał Adam, pochylając się w taki sposób, aby tylko Abel i Anna mogli go usłyszeć.

— Wszystko, o czym rozmawialiśmy poprzednio? — upewnił się Abel.

— Tak, wszystko. Towar w najlepszym gatunku.

— W takim razie chodźmy na zaplecze — Abel powstał, rzucając Annie porozumiewawcze spojrzenie. — Roger, zapiekuj się nią — dodał, oddalając się od lady.

Roger ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Idźcie do magazynu — powiedział. — Tylko zaraz wracajcie. Mam mnóstwo klientów.

Po chwili Abel i Adam znaleźli się w dość obszernym pomieszczeniu, wypełnionym stosami pudeł i puszek. Abel sta-

rannie zamknął drzwi, po czym wydobyl z kieszeni zwitek banknotów.

— Mam tylko sześćset — zakomunikował. — To całe moje oszczędności.

— Dobra, dobra — mruknął Adam, otwierając niewielkie tekturowe pudełko. — Najpierw obejrzyj towar.

Abel zważył w dłoni kilka naboju o zaokrąglonych łbach.

— Jakieś dziwne — mruknął, wydobywając z kieszeni rewolwer. — To na pewno czterdziestka czwórka?

Adam uśmiechnął się triumfalnie.

— Najlepsze, jakie są! Nie ma mowy o niewypałach!

Abel wsunął nabój do komory.

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Ile tego masz?

— Tyle, ile chciałeś. Pięć paczek po dwadzieścia sztuk. A to książka, której szukałeś — w dłoni przemytnika pojawiła się szara, zakurzona broszura. — Ledwo się trzyma kupy ze starości. Co tu jest napisane? Geo... Geometria... różnicz... kowa? W środku też jakieś dziwactwa. Słuchaj, czy ty naprawdę coś z tego wiesz? No dobra, nieważne. A to masz gratis, od firmy — Adam wręczył Ablowi foliowe opakowanie zawierające kilka kolorowych pigulek.

— To dla mnie czy dla niej?

— Tym razem dla ciebie. Tylko uważaj, żeby nie zobaczył tego ktoś nieodpowiedni. Za coś takiego Jego Światłość wtrąciłby cię do mokrego lochu na co najmniej dwadzieścia długich lat. To ciekawe, że zwisają mu wszyscy mordercy i rabusie, jacy włóczą się po mieście. Codziennie dokonuje się tutaj tyle aktów przemocy, że aż się prosi, żeby powiesić paru rozrabiaków. Ale oni chodzą sobie spokojnie po ziemi, nie robiąc wrażenia na tych kreaturach w mundurkach. Ale spróbuj powiedzieć coś głośno na temat nieomylnego Wiel-

kiego Mistrza... Ach, właśnie, słyszałeś jego dzisiejsze przemówienie?

Abel zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie oglądam telewizji — stwierdził.

— Nie oglądasz? — Adam popatrzył na niego ze zdumieniem. — Udało ci się wyłączyć telewizor?

— Uznajmy, że się zepsuł, a awaria jest na tyle nieznaczną, że nie zgłosili się jeszcze technicy z centrali.

— Doskonale — ucieszył się Adam. — W takim razie mam dla ciebie propozycję. Jeżeli mój telewizor przestanie działać, to dostaniesz ode mnie, powiedzmy... pięć tysięcy.

— Pięć tysięcy?! — powtórzył Abel podniesionym głosem — To przecież majątek!

— Jak dla kogo. No więc jak? Zgoda? Nad czym się tu zastanawiać?

— Zgoda, niech będzie — mruknął Abel po chwili.

— A więc spotkamy się w moim mieszkaniu, pojutrze, o dziewiątej. Czy to ci odpowiada?

Abel skinął głową.

— A co takiego powiedział dzisiaj Jego Świetliwość? — zapytał, upychając po kieszeniach paczki z amunicją.

Adam spoważniał. Pryszczki na jego twarzy stały się nagle wyraźniejsze, a czoło pokryła sieć drobnych, pionowych zmarszczek.

— Oni coś knują — stwierdził.

— Kto, zakonnicy?

— A któżby? Boję się, że tym razem zaplanowali coś grubszego i bardzo perfidnego. Radzę ci, uważaj na siebie, a przede wszystkim na Annę. O ile wiem, Izba Zakapturzonych przygotowuje jakieś większe zmiany. Oczywiście wiadomo, kto im to zlecił...

— Co to za zmiany? Czy w tym mieście w ogóle może być gorzej?